

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

MACOCHA, TOM
PIERWSZY

Józef Kraszewski

Macocha, tom pierwszy

«Public Domain»

Kraszewski J.

Macocha, tom pierwszy / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom pierwszy	5
I	5
II	13
III	22
Конец ознакомительного фрагмента.	27

Józef Ignacy Kraszewski

Macocha, tom pierwszy

Tom pierwszy

I

W kraju puszczy i moczarów, który się z wolna, w miarę wzrostu ludności wytrzebiał i osuszał, nie dalej jak przed stu laty były jeszcze zakąty, oddzielone od gęściej zamieszkanych okolic przestrzeniami tak znacznymi lasów i błot, że przystęp do nich nie w każdej porze roku był możliwy, a często całkiem niepodobny. W tych zakątach położonych, jak mawiano na końcu świata, życie też, odcięte od społeczeństwa, wiodło się zupełnie odrębnym obyczajem. Musiano starczyć sobie, z podań i wrażeń tworzyć własną ośnowę, a w braku podbudzających z zewnątrz pobudek, usypiać nieco i wlec się tak powoli za drugimi, iż często o cały wiek zostawało się – za nimi. Był to **sen życia** spokojny, jednostajny, bez pragnień przebudzenia, zmiany i gorętszych wrażeń. Rodzili się częstokroć na tych wyspach stałego ładu, lasami jak morzem oblanych, ludzie, którzy nigdy po za ich obręb nie wyrzeli, a o kilka mil odległe osady znali zaledwie ze słuchu. Nie było potrzeb wyszukanych, ani nawyków do tego, czegoby sama okolica nie wydawała i sam jej mieszkaniem stworzyć nie mógł.

Z pewną obawą i nieufnością spoglądano tu na obcego człowieka, na strój i krój nowy, na ruch pośpieszniejszy, na przybysza, który wkradłszy się w to zazacisze, mógł tajemnice jego podchwycić, wieść z nich wynieść na szerszy świat.

Miejsca podobne, wśród puszczy, zwały się nawet częstokroć **ostrowami**, niby wyspami oddzielnymi, które nie chciały się łączyć z otoczeniem i stanowiły całość odrębną.

W dzisiejszym życiu ogólnem świata, opartem na zespoleniu sił wszystkich, na podziale owoców myśli i pracy, trudno pojąć takie dobrowolne wyrzeczenie się wszystkiego, co współka ludzka przynieść mogła; lecz przed wieki ludzkość też żyła inaczej. Gromadki spoglądały na się zazdrośnie i wrogo, byt się opierał nie na przymierzu, lecz na walce i zdobyczy. Wszystko się **zdobywać** musiało nie **nabywać**; poszachowany był pstro świat i wojować musiał, bo błogosławieństwa pokoju i pracy jeszcze nie pojmował.

Takim zakątem na pograniczach Polesia, były w wieku przeszłym Borowce. Na ludniejszych wybrzeżach tego ogromnego leśnego ostrowu znano je z nazwiska tylko i opowiadań, bo mało kto się tam zapuścił i zwiedził ową zapadlinę. Szedł lub jechał do Borowiec tylko kto musiał; jedna drożyna leśna, przez moczary i gąszcze, prowadziła do nich i wyprowadzała.

W czasie gdy gromady na pół koczujące szukały bezpieczeństwa od napadów nieprzyjaciela, od klęsk wojny, zabiegła tu snadź kupka ludzi strwożonych i osiedliła się wśród puszczy, rada temu, że za sobą nie pozostawiła śladu.

Stare horodyszczko obwiedzione wałem, świadczyło, że w przedhistorycznych czasach znaczna już musiała być tu osada. Później może obyczaje najazdów tatarskich, zbiegowiska ze wsi sąsiednich stojących na szlakach, pomnożyły ludność jeszcze, stworzyło się coś nakształt miasteczka, stanęła cerkiew, kościół i zamek.

W koło ryneczku – targowicy, postawiano domy z podcieniami na słupach starym kształtem, przypominające ugalerjowane miasta włoskie, choć tam tylko, że tam od słońca, a tu od słoty były ochroną przechodniom.

Borowce za pośrednictwem kilku przekupniów izraelskiego rodu, mających cały handel w swych rękach, otrzymywały z zewnątrz to, czego potrzebowały; przez nich też wyprzedawały się z tego, co im zbywało. Niewielu mieszkańców rolników, należących do wiosek, chciało się narażać na dalsze

podróże we własnych interesach; wszyscy woleli doma siedzieć niż gonić za zyskiem i ocierać się o nieznanych ludzi. Kilku zaledwie, których po zewnętrznych cechach łatwo odróżnić było można, posługiwać kupczącym do wywozu tutejszych płodów; reszta za żaden zarobek nie podjęłaby się podróży po za granice lasów borowieckich. Spoglądano na tych, dotknięciem obcych pokalanych ludzi, nieomal jak na straconych i cudzych, jak na nieszczęśliwe chciwości ofiary. A prawdę rzekłszy, ci co żydom furmanili, byli też najwięksi pijacy i najrozpustniejsi ludzie.

Żaden prawie żywioł obcy nie pomieszał się ze starodawnym plemieniem Borowiczan. Żeniono się między swymi; proboszcza zastępował jaki krewniak wcześniej tu na wychowanie wzięty i przyswojony, a do tej pustyni nawykły; parochowie na synów przelewali swe obowiązki; we dworze też, jeśli co przybyło nowego, to tak młodego, że się łatwo i prędko dało wcielić w gromadkę. Służba spadała z ojca na syna: chaty i pola, suknie i charaktery, sprzęty i obyczaje, nawet rysy i oblicza brały pokolenia w spadku. Mało też ktoby był mógł tu wyżyć nienawykły do uroczystej ciszy, spokoju, do tego marudnego życia... które żywszego biegu nie znało. Utrzymywali tutejsi, że i zwierzęta domowe, konie, woły, psy, owce, wszystko co hodowano, inaczej tu niż za ostrowem wyglądało.

Ku północo-wschodowi niezmiernie lasów tutejszych obszary przypierały do kilku podobnych ostrowów, od wieków także zaludnionych, pokrewnych zwyczajami i żywotem, od których w ostateczności zapożyczano się jeśli potrzeba była konieczna rzemieślnika, parobka... warsztatu. Były wprawdzie podania, iż Borowiczanie krwawe niegdyś o lasy i łęgi staczali boje z tymi sąsiedzi, ale te od bardzo dawna ustały... Mieli ziemi do zbytku...

Kilka mogił na granicach obłożonych gałęzmi suchymi, służących razem za kopce graniczne, jedynymi były pomnikami tych bratnich zapasów. W tej atmosferze niezamąconej żadnym obcym wyziewem, rosły jak dęby i sosny podania i baśnie, które każde nowe pokolenie przerabiało, ubierało i zwiększało ich rozmiary. Czepiały się one uroczysk, gajów, strumieni, kamieni, i jak bluszcze a powoje każdą obwijały ruinę.

Wyminawszy miasteczko, które niczem się oprócz rozmiarów, od wiosek nie różniło, ulica wyszczerbiona ze starych bardzo drzew prowadziła ku horodyszczu i tak zwanemu zamkowi, położonemu nad samym brzegiem rzeki, zielonemi otoczonej łęgami.

Horodyszcze obrosłe drzewy, na którym żadnych budowli od wieków nie było, wychodziło na błota ku rzece; bliżej ładu stał późniejszy zamek, przytykający doń, z kamienia niegdyś zbudowany, zniszczony potem czy spalony, szarą ruiną, dość jeszcze rozległą, opuszczoną, wyglądający na zielonem tle drzew smutnie.

Snadź przed jego upadkiem, podania bowiem wielce były różne, wzniesiona została wspaniała piętrowa brama wjazdowa, obronna, panująca nad mostem zwodzonym. Służyła ona niegdyś na pomieszczenie zbrojnej załogi i wojennych przyborów, a potem, gdy zamek sam niszczał, dziedzice przenieśli się do niej, poprawili ją nieco i dziś ona dwór zastępowała!

Była to budowa nieforemna, dolepiana, przerabiana, popsuta zewnątrz, ale do potrzeb życia zastosowana jako tako. Okute wrota ciężkie, które ją niegdyś zamykały, żelazne brony spuszczone, z dawna bezużyteczne, do ścian i murów przyrosłe, nie ruszały się już, rdzewiały i gniły powoli. Na piętrze wsparte na belkach i kamiennych wyskokach balasy, z których na nieprzyjaciela miotano kamienie i lano wrzątek, poopadały zupełnie, tak, że z nich tylko kościotrupa sterczał szczątek.

Grube mury, od podwórza jeszcze szkarpami popodpierane, rzadko gdzie dotąd zarysowały się szparami, nie wpuściły ani traw, ani krzewów, coby je rozsadzić mogły, trzymały się krzepko, mimo sędziwego wieku. Okna miejscami błoniaste, w ołów oprawnemi, małemi szybki świecące, inne już z szerszych tafli złożone, świadczyły, że wszystkie mieszkania w bramie pozajmowane były. O kilkanaście kroków stojąca okrągła baszta, snadź dawniej murem okólnym z zamkiem połączona i do niego należąca, teraz nową przybudówką się z bramą zrosła, i jedną z nią stanowiła całość.

W obszernym podwórzu ku ruinom zamczyska wiodącym, niedawno snadź zasadzony krzewił się ogródek kwiatowy. Nie był on ani wykwintny, ani sztucznie przybrany, ale jego pstre grządki i uliczki piaskiem sypane, ożywiały nieco te pustki. Niektóre klombiki wybiegały aż na wał okryty

rumowiskami dawnej kurtyny zburzonej, a ze starych foss oschłych dobywające się zarośla łączyły się z niemi, podnosząc się z drugiej strony.

Od wieków utrzymywały się tu podania o niezmiernie rozległych pod zamkiem i horodyszczem lochach i pieczarach podziemnych, których część dotąd była pod kluczem, a reszta służyła za schronienie kunom i nietoperzom. Otwory ich gdzie niegdzie widne przez gałęzie ożyn, ciekawym chłopcom wiejskim służyły do rzucania kamyków i różnych doświadczeń a zabawek. Kilka takich przełomów znajdowało się na zamku i w pobliżu niego, a ziemia dokoła próżnią tętniała.

Pomimo ponurego i smutnego oblicza, krajobraz otaczający nie pozbawiony był wdzięku. Wprawdzie jak sięgnęło oko, niezmiernie ściany czarnych lasów jakby żelaznym obejmowały go pasem, lecz w pośród nich szeroko też zielone rozpościerały się łągi, a wolno płynąca, szeroka rzeka srebrzysta. W dali gdzie niegdzie samotna sosna lub dąb prastary sterczał, wystąpiwszy daleko przed gąszcze, i majestatycznie gałęzmi olbrzymimi malował się na czarnych lasu głębiach. Po łągach stały strugi jak strażnicy, dalej szarych łóz i wierzb pozaokrągłane kłęby, jakby wał leżały nad rzeką. Gdzie niegdzie pobożna ręka wzniosła wysoki krzyż świadczący o modlitwie i boleści, tajemniczy kurhan zielonym kobiercem obrzucony, samotny, jak zagadka przeszłych wieków nierozwiązana, świecił żółtym oberwanym bokiem.

Oko błędząc po lasu wybrzeżach, mogło w nich dojrzeć jakby zasieki poobalanych drzew ze sterczącymi konary białymi i zeszlęmi, dalej łąk, które się wcisnęły we wnętrza puszczy i strumieni osłonięnych bujnemi rośliny zwieszającemi się u ich brzegów.

Lecz oprócz ogromnej osady Borowiec i kilku przysiółków z nią połączonych, a niewielu chat w pobliżu rozsianych, w całej okolicy żadnego ludzkiego nie widać było mieszkania.

Po za wydartemi polami, na wzgórzach, ciągnęły się lasy, bory, puszcza całkiem bezludna. Jedna szersza droga do niej wiodła, gdzie niegdzie ścieżyny ledwie znaczne i wydeptane przez leśników dróżki.

Cały ten obszar, który małe mógłby był stanowić państewko, gdyby ludność odpowiadała ziemi, należał od lat tak wielu do jednej rodziny, iż pamięć ludzka nie sięgała czasów zdobycia czy nabycia przez nią Borowiec. Najstarsze też dokumenta wspominały o Dobkach z Borowiec.

Losy tej rodziny przykutej do pustkowia były dosyć osobliwe, historia ciekawa i zagadkowa; nie wszystkie wypadki jej wiadome nawet miejscowym, a po za granicami dziwy z nich sobie pleciono... Dobkowie trzymali się Borowiec przez kilka wieków, ani z bogacając się ani zubożawszy, nie mogąc się rozrodzić, ale też nie wygasnąwszy... gdy tyle innych rodów wymarło. Najczęściej syn tu jeden po ojcu zostawał i dziedziczył, rzadko ich dwu bywało... nigdy nie dorośli razem... Córek niewiele wyszło z domu, majętność się też nie podzieliła, i o jednym tylko Dobku herbu Cholewa wiadano, że się był wyniósł ztąd, a osiadł na Litwie. Trafiło się to właśnie pod ten czas, gdy Dobkowie nie wiadomo zkąd i jak zachwycili religijnych nowinek, z kościoła zrobili zbór, księdza wygnawszy, dawali różnym warchołom przytułek, na ostatek zabłąkali się aż do arjan i z nimi w końcu trzymali. Siedzieli tu jakiś czas, kryjąc się Przypkowscy i kilku innych braci polskiej. Gdy przyszło potem srogie arjan prześladowanie, i zmuszono ich albo kraj opuścić lub wiary się swej wyrzekać, ów Dobek co ztąd wędrował, wszedł po to, aby do kościoła wrócić, i katolikiem zostawszy, ożenił się z bogatą dziedziczką, z którą nową gałąź Dobków Cholewitów fundował; ta jednak wszelkie stosunki z pierwszym swem gniazdem zerwała.

Dobkowie borowieccy, dopóki tylko było można, trzymali jawnie z arjany, potem z dyssydentami, pozornie się arjanizmu wyrzekłszy, naostatek nawrócili się i oni do katolicyzmu, chociaż różnie o tem mówiono, i byli co utrzymywali, że stary w nich zakwas utajony pozostał.

Zbór, który był z kościoła zrobiony, napowrót zwrócono księdzu. W czasie gdy Dobkowie heretykami byli, pochowano ich tu kilku i w zborze wystawiono im przepyszne grobowce. Gdy wrócili katolicy, ponieważ sobory i bulle nie pozwalały, by z kościoła wyłączonych ciała w poświęconem miejscu spoczywały, musiano przenosić i monumenta i ciała do sąsiedniego zamkowego lochu, na co osobne sklepienie przeznaczono podziemie.. Opierali się z razu Dobkowie naruszeniu pokoju

zmarłych, lecz gdy duchowieństwo surowo domagać się zaczęło usunięcia tych grobów, zabrano z kościoła do zamku nietylko arjana, ale wszelkie jakie były trumny, i odtąd grzebali się wszyscy w tym lochu zamkowym, na dwie izby podzielonym, w którym monumenta, tablice, rzeźby i wszelkie pamiątki po nich zgromadzono.

Te odosobnione groby Dobków na samym zamku, zajmowały część ogromnych lochów, o których głośno podania, że się aż za rzeką ciągnęły. Wnijście do nich było osobne, zamczyste, a piecza około zachowania szczególna. Kilka okien kraciastych od dziedzica dozwalało dojrzeć w głąbi stojące trumny, począwszy od dębowych w kłodach grubych żłobionych, aż do cynowych i kamiennych.

W jednym lochu leżeli arjanie, obok poświęcony mieścił rodzinę katolicką. Z kolei po sobie następujący tu proboszczowie, wszyscy brali zdaje się w spadku po sobie pewną ku kollatorom nieufność i podejrzenie ich ortodoksji, chociaż Dobkowie nie dawali do tego żadnego powodu, spełniali zewnętrzne obowiązki gorliwie i przykładnie, ale się pono w starych Bibliach swoich nadto rozczytywali. Więc choć ich o herezję jawną pomówić nie było można, podejrzewano o pewną do niej skłonność. Gorliwości zbytnej nie było z ich strony, braku pohamowania zarówno... a któż mógł zajrzeć w sumienie?

Z tego powodu może niełatwo im było o żony, tak, że gdy pora ślubowania przychodziła, wybierali się zwykle gdzieś daleko, kędy ich z tej strony nie znano, i ztamtąd sobie przywozili towarzyszek, albo też trafiało się, że wcześniej ubogie krewnie żon swych sprowadzali dla synów, wychowując na przyszłe małżonki.

Od wieków tak bardzo odosobnieni, samotni, nie żyjąc z nikim, rodziną się tylko własną i sami sobą otaczając starczyli sobie, ani z sąsiadami, ani z tymi do których wypadki ich zbliżały nie zawierając ściślejszych stosunków. Mało co też wiedziano o nich, o życiu na zamku, o ich sprawach i myślach; a służba, która dwór otaczała, tak była dobrana i wyuczona, że się ze wsią i miasteczkiem nie łączyła i stanowiła też jakby odrębną gromadę. Sług nowych przyjmować nie potrzebowano, gdyż młodzież i dzieci zawczasu wprawiano i sposobiono na wszelkie funkcje zamkowe.

Przed stu laty blisko, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, panem na Borowcach był Salomon Dobek Cholewa Borowiecki, człowiek już niemłody, wdowiec, z wielu względów do przodków swoich niepodobny, chociaż dużo też z ich charakteru zachował. Odziedziczył on był majątność po ojcu już od lat kilkudziesięciu, w dosyć dziwny sposób: bo choć wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ojciec jego Adam Dobek nie żył od dawna, wszakże śladu co się z nim stało, i jaką śmiercią, i gdzie zginął, nie było.

Jakaś mętna historia nierozjaśniona wiązała się z tem zniknięciem ojca Salomonowego.

Adam urodzony w ostatnich latach siedemnastego wieku, ledwie doszedłszy pełnoletności, stracił najprzód ojca, a w prędko potem i matkę. Lat potem niemal dziesiątek żył całkiem samotnie, dzicząc na zamku, nie zdając się myśleć o ożenieniu. Potem obyczajem ojców, wyruszył kędyś szukać dozgonnej życia towarzyski. Rok go prawie w domu nie było, powrócił z żoną do Borowiec. Kobieta, którą z sobą przywiózł, nadzwyczajnej być miała piękności, lecz od pierwszej chwili smutna, płacząca, widocznie zboląta i nieszczęśliwa, zdawała się przeciw woli wydaną za niełubą męczennicą. Wkrótce po powrocie urodził się syn i matka zaraz wydawszy go na świat umarła...

W ostatniej chorobie nie dopuszczano do niej nikogo z ludzi; z izb, w których leżała dochodziły jakieś krzyki rozdzierające, przeraźliwe, straszne... a gdy skończyła, sam ją mąż do grobu ubierał.

Po śmierci jej, stary Adam stał się bardziej jeszcze ponurym i odludkiem zamkniętym; mówiono, że znaczną część dnia i nocy przy grobach ojców przepędzał. Zajmował się też wychowaniem syna, co mu było ciężko, bo dziecko było złośliwe i uparte. Ojciec i syn gryźli się, kłócili, chłopiec z domu nawet uciekał i kilka razy gonić za nim, łapać go i więzić musiano....

Gdy nareszcie dorósł lat pewnych, nieco się uśmierzywszy, z pomocą nauczyciela, którego doń sprowadzono z daleka (a ten go uchodzić przecież potrafił), zaszedł ów dziwny z ojcem wypadek, nierozjaśniony dotąd, a różnie tłómaczony.

Niewiadomo z jakiego powodu zbiegł z zamku stary sługa... za którym próżno, znaczną nagrodę wyznaczwszy, gnano, – sługa, od dzieciństwa tu wychowany i zaufanie pana posiadający. Wkrótce potem, niewiadomo czy za jego powodem, czy z innych przyczyn, zjechali sądowi ludzie do Borowiec na zamek i samego pana Adama Dobka osobę ująć chciano. Lecz nim się to stało, przeczuwając snadź coś złego, stary wziął klucze od grobów i zniknął w lochach, tak, że potem napróżno je przetrząsano, śledzono i nigdzie nie odkryto jak i dokąd ujść potrafił. Utrzymywano później, że zagrożony bannicją i infamią (niewiadomo za jaki występki), sam sobie dobrowolnie życie odebrał, wstydu uchodząc, a rodzina całą sprawę zdusić i utaić potrafiła... To pewna, że go od dawna za umarłego miano i w głowach tablicę pamiątkową umieszczono.

Syn bez przeszkody objął majątności, i przeciw obyczajowi ojców, nie szukając daleko, pojął za żonę córkę jednego ze swych officialistów, dziewczynę prostą, której piękność była całym posagiem. Przywiązał się do niej wielce, a gdy wydałszy córkę na świat, i ona wprędce życie skończyła, w rozpacz o mało sam zachorawszy nie poszedł za nią. Pozostałe dziecię przywołało go do życia.

Dziewczynie imię Laura było. Dochodziła ona lat szesnastu, a piękność jej przypominająca matkę, rozkwitała najcudniej na pociechę ojcowską. Była to ostatnia imienia Dobków dziedziczka, i co się od wieków po raz pierwszy trafiło, majątki przejść miały po kądzieli w obcą rodzinę, a imię stare wygasnąć. Płakał nad tem pokryjomu Salomon. Miał on naówczas lat niespełna pięćdziesiąt... lecz życie surowe a jednostajne młodo go zachowało.

Od śmierci żony szukał pociechy i zajęcia w różnych przedmiotach: najprzód w troskliwej nad dzieckiem opiece, która była dlań pierwszym życia zadaniem, potem w czytaniu ksiąg, które mu nie smakowały, na ostatek zbudziła się w nim żądza zubożenia, i ta go drugim węzłem przywiązała do życia. Od czasu jak począł frymarzyć, z żydami na wspólnie handlować, wyprzedawać lasy, zakupować zboża i puszczać różne towary do Gdańska, ożył jakoś Salomon, orzeźwił, w końcu zaś stał się chciwym skąpcem, codziennie prawie łakomszym mienia, w miarę jak ono wzrastało.

Nie przysłała ta namiętność od razu, ale się w nim można rzecz rozrastała powoli, chwytając go coraz uciskając mocniej, opanowywała, aż niemal do niepoznania zmieniła.

Kochał zawsze tę córkę jedyną miłością bałwochwalską, będąc raczej pierwszym jej sługą niż rodzicem; przecież starania o grosze, o zyski, o złoto, na którego widok drżał, czasem mu nawet Laurę z pamięci i serca rugowały.

Handle jego, któremi nie oddalając się prawie z Borowiec kierował, odbywały się przez kilku izraelskich faktorów, sług płatnych, wprawnych a pewnych, bo ich rodziny w ręku miał Dobek i ludzi dobierał trafnie. Zaczął najprzód od wyrobku niezmiernych lasów własnych, w których się skarby wielkie znalazły, dęby niewidzianych rozmiarów, klepka, masztowe sosny i bale. Spławna rzeka wywóz ich ułatwiała, pędzono oprócz tego smołę, palono potasze... Puszcze były tak rozległe a nietykane, że gospodarstwa tego na lata stało. Corocznie tysiącami dukatów brano za leśne produkta, a w lasach trzebieży tej znać nie było.

Na sosnowe belki zaczął potem Dobek składać zboże kupowane w żyzniejszych okolicach i prowadzić je do Gdańska. Z każdym rokiem handel ten większe przybierał rozmiary. Życie się nie zmieniało wcale, grosz przywieziony w jasnym obrączkowym złocie, tonął gdzieś w żelaznych skrzyniach, w podziemiach zamkniętych, od których klucz nosił Dobek, jak mówiono, na szyi, nikomu go nigdy nie powierzając. Jedynym szafunkiem były gościńce, które z Gdańska dla Laury przywożono co rok, bogate sprzęty, klejnociki... sreberka. Te Aron Lewi, prawa ręka Dobka, żyd bardzo już majątny, sam wybierał i kupował, a miał i smaku wiele, i wytargować się umiał...

Salomon Dobek, choć dawniejsi jego przodkowie mieli wszyscy być postawy olbrzymiej, nie dorósł ich wcale, a nawet ojca, o którym prawiono, że był rozrostły i silny. Mały, suchy, zgarbiony nieco, łysy, rumiano i świeżo jeszcze wyglądał, oczy mu się świeciły, biegał po młodemu, i ani oczu, ani uszu, ani żywości młodej nie stracił. Chodził zawsze odziany szaro, podpasany skórzanym paskiem, w butach do kolan...

Dopuszczenie faktorów do zamku i owe frymarki z nimi, choć się odbywały w izbie na dole na to przeznaczoną i nigdy im dalej na zamek wchodzić i po nim się wałęsać nie było wolno, zmieniły po trosze życie borowieckie. Z chciwością złota wcisnęły się troski, zajęcia tysiączne i potrzeby stosunków ze światem. Laury też dorastającej nie mógł ojciec wychować o własnej sile... musiał do niej jakąś daleką krewną babki z odległych stron sprowadzić. Przybyła panna Fryderyka von Henau powiększyła szczupłe gronko mieszkańców zamku. Składało się ono: z pana Salomona, panny Laury i cioci Henau, jak ją pospolicie zwano. Już za Adama dwór się był znacznie zmniejszył, dziś, stał się szczuplejszym jeszcze, wielu starych puszczo na chleb łaskawy, Salomon, który dla córki nic nie szczędził, dla siebie, domu i ludzi z każdym dniem stawał się dokuczliwszym sknerą.

Niedaleko zamku, bo tak teraz bramę z basztą nazywano, stał dawny kościół, przerobiony ze zboru i przywrócony ostatecznie nabożeństwu katolickiemu; przy nim mieściła się stara murowana plebanja, od lat kilkunastu zamieszkiwana przez proboszcza Żagla, którego stryj poprzednio był także czas długi miejscowym dusz pasterzem. Pomiędzy plebanją a zamkiem nie było otwartej wojny, stosunki na oko przyjaźne łączyły kanonika z dziedzicem, lecz z obu stron panowała nieufność i tajona niechęć. Ks. Żagiel wiedział najlepiej od stryja i z miejscowych podań co tylko o Dobkach rozpowiadano, tu się zbiegały wszelkie ciche, nieprzyjemne im plotki; we dworze także szukano zawsze jakichś do proboszcza przyczepiek, czegoś, coby mu zarzucić było można. Widywano się tylko z konieczności, a zgoda była powierzchowna, pokrywająca ciągle wzrastającą tajoną nienawiść.

Ksiądz Żagiel nastawał szczególnie na to, że u Dobków pełno było tajemnic i rzeczy ukrytych w życiu i postępowaniu, dodając, że kto czystym jest, ten się niema z czem ukrywać. We dworze ks. Żagla za niebezpiecznego miano fanatyka i rozsiewacza potwarzy nieuzasadnionych... Nie przychodziło jednak do wybuchu i powierzchowne porozumienie dotąd nadwreżone nie zostało...

Ks. Żagiel był człowiekiem dobrym w gruncie, lecz samotnością, życiem na tej ustroni bez ludzi, podrażnionym i kwaśnym, a niekiedy niecierpliwym. A że nadzwyczaj surowo pilnował, aby się w obowiązkach religijnych ludzie nie opuszczali i najłżejszemu w tem uchybieniu nie przebaczał, niezawsze bywał ze dworu zadowolony. W otoczeniu Dobków i w nich samych gorliwości żadnej nie było, zaniedbywali się nawet często, a gniew proboszcza lekceważyli. Miał on też i to za złe że Salomon więcej z Izraelitami dla handlu przestawał, niż z kimkolwiek bądź, i zdawał się w ich towarzystwie smakować. Laury wychowanie zbyt wielką dające jej swobodę, charakter dziewczęcia śmiały, energiczny, fantastyczne jej postępowanie, mężkie niemal upodobania, proboszczowi się też nie podobały. Od majątnego Dobka nigdy ani na naprawę kościołka, ani na restaurację plebanji, ani na ogrodzenie cmentarza ksiądz nic doprosić się nie mógł. Spotykali się też chyba w niedzielę na Summie, w uroczyste święta i dni, gdy proboszcz czuł się w obowiązku odwiedzić kollatora, a rzadko bardzo nawet na obiad był proszony.

Samem położeniem swem Borowce wszelkiego bliższego sąsiedztwa pozbawione były; stosunki więc ze szlachtą prawie nie istniały. Dobek wyjeżdżał rzadko, tylko gdy był zmuszony... do niego nikt nie przybywał chyba za interesem. Nie można jednak powiedzieć ażeby się tu nudzono; Salomon od rana do nocy siedział w rachunkach lub słuchał szczebiotania córki; Laura i panna Henau biegały, chodziły, czytały i zajmowały się robotkami kobiecemi. Dwie te kobiety zdawały się stworzone na przeciwieństwo sobie, i dla tego się może doskonale godziły. Nic sztywniejszego, chłodniejszego na pozór wystawić sobie nie można nad ciocię Fryderykę, od rana w czarną suknię z białym kołnierzem opiętą, wyprostowaną, nie uśmiechającą się nigdy prawie i do starego jakiegoś flamandzkiego portretu podobną. Chód jej, postawa, mierzona mowa, wzrok nigdy się nie ożywiający, usta, z których płynęły jakby siłą wyciśnięte, z wolna jeden po drugim obliczone wyrazy, były w najzupełniejszej sprzeczności z ognistą naturą, niepohamowaną szczebiotliwością rozpieszczoną samowolną Laure, która co chwila czegoś nowego do podsyceń w sobie życia płonącego potrzebowała, a czegokolwiek zapragnęła, to osiąść musiała koniecznie. Ojciec czasem próbował ją hamować, co mu się nigdy prawie nie udawało, ustępował pieścizdom dziecka, na którego czole obawiał się najłżejszej nawet chmurki. Właściwie piękna Laura, którą wszyscy spieszczono Lorką nazywali, panowała

samowładnie na zamku i wola jej rządziła wszystkimi. Kochano ją powszechnie, gdyż dziecię szczęśliwe, dokoła siebie szczęście widzieć chciało wszędzie, przymilało się każdemu i niechęci długo nie mogło w sercu zatrzymać.

Gwałtowność uczuć wszakże kazała się domyślać, że gdyby Lorka raz kogo znienawidzić mogła, nienawiść jej jak miłość nie znałaby granic. Życie osamotnione dotąd, nawykłym do niego nie ciążyło; frasował się tylko zawczasu pan Dobek tem, że ono zmienić się musi, bo i tak dziewczęcia w tym kątku zamurowanego trzymać nie było podobna zawsze. Rok jeszcze lub dwa, a przewidzieć było łatwo, iż z niem wyjechać przyjdzie, by je na świat wywieźć... i dać je poznać światu.

W takim położeniu byli mieszkańcy Borowic, gdy niespodziany wypadek zamącił ten spokój, do którego od dawna nawykli.

O mil dwie (wprawdzie fantastycznie wielkich), po za wschodnią granicą lasów borowieckich, leżały dobra rozległe, do Sapiehów należące, w których się od dawna dzierżawcy różni mieniali. Klucz smołochowski wypuszczany różnym spekulatorom, przed laty sześciu dostał się niejakiemu panu Nosce, szlachcicowi mającemu własny majątek o mil dziesięć, zamożnemu a chciwie dorabiającemu się grosza. Nosko wziął Smołochów z wolnością pędzenia smoły, dziegciu i palenia potaszu, używał też jej i korzystał śpiesznie, gdy w ciągu tych zabiegów o fortunę, niedawno ożeniony, w sile wieku i zdrowia, zaziębiwszy się na polowaniu, dostał gorączki i zmarł prawie nagle.

Pozostała po nim wdowa, kobieta młoda, piękna, energiczna, sama jedna, bez rodziny, bo ta gdzieś się po świecie była rozpierzchnęła, zrozpaczywszy niemal o sobie, postanowiła szukać ratunku gdzie go się jak najmniej spodziewać mogła.

Jednego dnia, gdy pan Salomon Dobek najmocniej był zajęty rachunkami ze swym Aronem, dał mu znać stary sługa, iż młoda jakaś pani piechotą przyszła z miasteczka i prosiła, by się z nim widzieć i pomówić mogła.

Było w tem coś tak nadzwyczajnego, niesłychanego, niepraktykowanego w Borowicach, iż w pierwszej chwili Dobek się przeląkł i odpowiedzieć na pytanie nie mógł. Spojrzał na Arona, jakby żądając rady, co tu począć?

Kto mogła być ta kobieta młoda, obca, która się z panem Borowieckim widzieć i mówić chciała? po co i dla czego? Stary Aron pogładził brodę, rady bowiem dawać nie śmiał, a czuł zresztą, iż rozmowy nikomu odmówić nie można.

– Ale któż ona jest? zapytał Dobek... z kąd? jakim się tu sposobem dostała?

– Tego nie wiem, rzekł sługa.

– Jak wygląda? dodał pan Salomon.

– Bardzo pańsko... kobieta młoda, nie więcej lat dwudziestu kilku, piękna, śmiała... nie tutejsza... musi być kędyś... z kraju... (krajem tu nazywano co po za polesiami leżało).

Dobek spojrział powtórnie na Arona.

Aron znowu długą w dłoń zebrawszy brodę, brwi podniósł, głowę, pokręcił, westchnął i nic nie rzekł.

– No, cóż tu zrobić?

– A! jasny panie, jużci pogadać z każdym trzeba! mruknął Aron.

Pan Salomon spojrział na swój strój zaniedbany, na izdebkę tę, w której tylko żydów, oficjalistów i sługi zwykł był przyjmować, namyślił się, i po chwili rzekł słudze, aby jejmość przybyłą prosił do parlatorium. Tak się tu zwała izba większa na piętrze w bramie, sklepiona, do której rzadko kiedy zaglądano... ustrojona w dawne sprzęty, w obrazy, szafy i co dwór miał najlepszego. Lorka nie lubiła jej, bo była ciemna i ponura; Salomon chodził tylko czasem obejrzeć, czy tam jakiej szkody niema; jedna panna Henau lubiła ten ciasny kątek, wspomnień pełny i siadywała tu czasami przepatrując stare księgi, które w dwóch czarnych gdańskich wspaniałych szafach chroniono...

Z okien parlatorium, w jedną stronę poglądając, widać było ulicę wysadzaną i miasteczko, w drugą, dziedziniec zamkowy z ogródkiem Laury i szaremi ruinami staremi. Z dwojga drzwi w węższych ścianach jego umieszczonych, jedno wiodły na schody od wnętrza bramy, drugie w głąb

domu ku mieszkaniom Laury i panny Henau; korytarzykiem i przybudowaną galeryjką szło się na schody łączące piętro z izbami na dole, które pan Dobek zajmował. Sklepienia niskie nadawały salce smutną fizjonomię... Okna w grubym murze głęboko osadzone, w ołów oprawnymi szyby skąpo ją oświecały. Przyciemniał ją też sprzęt czarny, szafy szerokie przysadziste, na których wierzchach stojące delfty sine sięgały prawie łuków sklepienia. Pomiedzy niemi w ramach czarnych przyciemniałe portrety, z których gdzie niegdzie twarz chmurna patrzała... nie mogły jej ożywić ani rozweselić. Dębowe stoły, ławy, i stare krzesła okryte aksamitem wypłowiałym, kilka półek, na których srebrne i gliniane stały naczynia, puhary i misy, mosiężny złożony pajęk od środka sklepień wiszący, dopełniały ubrania parlatorium.

W każdym z okien, o dwa łokcie przynajmniej w mur wsuniętych, stały na podniesieniach ławeczki do siedzenia zielonem suknem poobijane... Nadedrzwiami głównymi stare płótno wyobrażało Chrystusa na krzyżu, z całą średniowiecznej sztuki wyrazistością odmalowanego...

Do tej to izby ponurej, jakby na obcowanie z umarłymi przeznaczonej, sługa otworzywszy drzwi wpuścił młodą panię, która się rozmowy z panem Dobkiem dopraszała... Snadź ona się go tu znaleźć spodziewała, bo wszedłszy obejrzała się ciekawie, zdumiała widząc się samą i korzystając z wolnej chwili, zaczęła się chciwie po salce pustej rozglądać.

Nieznajoma pani, która tu weszła, wdowa po panu Nosce, na czarnem tle parlatorium wyglądała świeżo, krasno jak kwiat na ciemnej aksamitu szacie. Pani Sabina, gdyż takie imię nosiła, była pięknego wzrostu i ślicznej kształtnej postawy, ciemnych oczu i włosów, kobietą w kwiecie wieku i wdzięku. Oko znawcy nie znalazłoby w niej może żadnej z tych cech, któremi Bóg znaczy wybrane swoje, ale też nie wyszukałoby skazy. Piękność była regularna choć pospolita nic w niej uderzającego nadzwyczajnością, nic rażącego brakiem harmonii... Jak z jednej sztuki bronzu ulana, zręczna, silna, z energią na czole, z oczyma pełnymi rozumu i ognia razem, przypominała piękną karytydę grecką, która dźwignąć może gmach, ale nie ma skrzydeł, by się nad ziemię podniosła. Niepospolita była to piękność, – a przecież nic nie mówiąca, twarz spokojna zdawała się zagadką marmurową, wszystko z niej mógł uczynić artysta, ale czem ona była sama z siebie, nie mówiła. Czarny ubiór wdowi Sabiny podnosił wdzięki jej postawy, cery i twarzy.

Długa suknia, czarny kwef okrywający włosy, szeroka chustka z koronkami, którą zarzuciła na ramiona, drapowały ją pięknie bardzo...

Wszedłszy do parlatorium, postąpiła chwilę zdumiona, rozglądając się po ścianach, sprzętach, wizerunkach... nie śmiała się ruszyć, badając drzwi jedne i drugie zaparte jakby na wieki... Na zamku cisza panowała uroczysta... przez okna, których szyby lata długie spaliły, mało co na zewnątrz widać było.

Jeszcze się tak rozpatrywała Sabina wśród izby, w której oddychać jej było ciężko, gdy usłyszała hałas i śmiech za drzwiami przeciwnymi tym, któremi weszła, potem lekki bieg w przyległym mieszkaniu, klamka żelazna zadrgała, otwarło się pół podwoi, i blondynka złotowłosa, biała, różowa, z wielkimi oczyma niebieskimi jak dwa wschodnie turkusy, wpadła uciekając do salki... Spostrzegła ją, krzyknęła przeraźliwie, zachwiała się, oparła o ścianę i przełęczona chciała uciekać jak od widma... ale nogi pod nią zdrząły, wyciągnęła ręce odpychając od siebie zjawisko i na kolana upadła.

II

Pani Sabina Noskowa, której postać była powodem takiego przerażenia biednej Laury, nie wiedziała co począć z sobą, nierozumiała z razu co się stało. Zmieszana, nie mogła rzec słowa i mimowolnie brew jej zmarszczyła się uczuciem tłumionego gniewu... Nic mogła pojąć dla czegożby jej przytomność taką trwogę wywołać miała? Wzruszyła ramionami... postąpiła krok, lecz w tejże chwili widząc ją poruszającą się z miejsca, dziewczę zdumione i zawstydzone razem porwało się z ziemi, uśmiechać się zaczęło, i spoglądając ciekawie, niezręcznie dosyć się skłoniło.

Laura wpadając do parlatorium, które zwykle bywało puste, gdzie od wieków gość nie postał, – nie wiedziała wcale o przybyciu sąsiadki, wzięła ją więc w pierwszej chwili za widmo jednej z prababek swych, o których tu tyle podań chodziło. Bawiła się ona z dziewczynką, córeczką jednego ze sług dworskich, i w ucieczce od niej niespodzianie dopadła drzwi salki... Teraz, gdy w mniemanem widmie poznała żywą kobietę, zdumienie Laury prawie nie mniejsze było, niż gdy ją widmem sądziła.

– Co ta nieznajoma pani robić tu może? mówiła sobie spoglądając na nią z obawą.

Jakby dla ośmielenia Laury, w tejże chwili pani Noskowa odezwała się dźwięcznym, jasnym, do rozkazywania stworzonym, choć złagodzonym na ten raz głosem:

– Czy będę mogła widzieć pana Dobka?

– Mojego ojca? spytała z obawą zawsze zbliżając się Lorka i wpatrując się z niezmierną uwagą w nieznaną istotę... mojego ojca? Ja, ja nie wiem! Lecz jakże tu pani wejść mogła?

– Prosiłam o widzenie się z nim... Kazano mi tu zaczekać.

Lorka popatrzała uważnie i instynktem gościnności wskazała uprzejmie przy stole stojące krzesło... Wdowa też dowiedziawszy się, iż była córką dziedzica, zdawała się chcieć uśmiechem słodkim nagrodzić niedawne brwi zmarszczenie. Twarz jej jednak z trudnością łagodny wyraz przybrać mogła, zbyt ciężki smutek zapewne serce goryczą zaszło uciskał.

Stały tak naprzeciw siebie obie zdumione, rozpatrując się w sobie, badając... a w tej chwili stanowczej, w której zwykle serce uderza ku nieznajomemu albo od niego odpycha, Laura uczuła jakby obawę, Sabina niewytłómaczony gniew ku zuchwale wyglądającej dziewczeczce.

Laura przypatrywała się jej w istocie z niezwykłą może na innym świecie śmiałością, którąby ledwie dziecku przystała, lecz była dziecinna jeszcze i udawać nie umiała; każda myśl, każde uczucie wytryskało przez oczy i śmiało się na ustach... nic też ukrywać dotąd nie miała potrzeby.

Powtórnie wskazała Laura krzesło wdowie, która obejrzawszy się ku niemu usiadła... Piękna dziewczeczka nie odeszła... i jak dziecko, które wyglądało przezedrzwi, tak ona uważnie, spokojnie, nielitościwie przypatrywała się pani Noskowej.

– Wiesz pani, odezwała się śmiejąc wesoło Laura: u nas tu nikt a nikt nie bywa... nie można się dziwić, że się tak przejęłam... dotąd mi jeszcze serce bije! Jak żyję, nie widziałam tu nikogo obcego... Można mi i strach i ciekawość przebaczyć! A pani... pewnie z daleka?

– Mniej daleko mieszkam niż się pani zdawać może, odparła harmonijnym zawsze lecz nie sympatycznym głosem Sabina, państwo i najbliższych nie znacie i nie widujecie sąsiadów. Ja jestem wdową po panu Nosce ze Smołochowa... może pani słyszała...

– A! tak... mówiono, że umarł niedawno! z politowaniem odezwała się Laura... Do Smołochowa dwie mile... a to tak dla nas już daleko! I droga podobno okropna, ja tam nie byłam jak żyję...

Gdy Lorka mówiła, oczy wdowy od stóp do głów przebiegały z uczuciem jakiejś zazdrości tę śliczną figurkę, której zdało się skrzydeł tylko braknąć, by mogła ulecieć w powietrze.

– Jakże państwo tu tak w tej pustyni bez ludzi żyć sami możecie? spytała wdowa.

– A! proszę pani! mnie tu doskonale! zawołała Lorka, z tego co o świecie ciocia Fryderyka opowiada, ja wcale nie mam ochoty się spieszyć wyjść z mojego zakątka. Mnie tu tak dobrze! ja

tu jestem sobie panią, swobodną... mam wszystko o czym zamarzę, a nie lękam się tych zrad, podstępów... fałszu i niegodziwości a przewrotności, o których ciocia powiada!

Wdowa lekko, nieznacznie poruszyła ramionami i roześmiała się z naiwnego dziecięcia, brwi się jej nieco ściągnęły, jakby to co Lorka mówiła o świecie do siebie wzięła....

– I nie nudzisz się tu pani? spytała z pewną ironją ukrytą.

– Ja? nudzić się! klasnęła w dłonie Laura, nudzić się? Ja tego nie rozumiem co to jest się nudzić... mnie wszystko bawi, jestem ciekawa wszystkiego i tak mi z ojcem i ciotką dobrze! A! a! gdzieżbym ja nudzić się mogła!

Wdowa westchnęła, spojrzały na siebie, w tem kroki na schodach słyszeć się dały, Lorka domyśliła się nadchodzącego ojca, skłoniła się nieznajomej i oddaliła pośpiesznie, drzwi zamykając za sobą. Niemal w tej samej chwili z przeciwnej strony otworzył je pan Salomon i bojaźliwie oglądając się, wsunął wzrok ciekawy posyłając przodem. W przyciemnionej sali niedobrze było widać nawet o południu, lecz wstając z krzesła pani Noskowa, zwróciła się ku oknu i żywsze światło padło na piękną twarz jej i postać wspaniałą.

Dobek, który dawno tak pięknej kobiety z blizka nie oglądał, zdawał się uderzony wdziękiem harmonijnym postaci, o jakiej nie marzył nawet. Odmalowało się to na jego twarzy, a Sabina wyczytała w niej łatwo zdumienie i milczący zachwyt, postanawiając z tego korzystać.

Nizko skłoniła się spuszczać oczy i przybierając wyraz pokorny i łagodny; głos, którym przemówiła, słodszy był daleko od tego, jakim niedawno odzywała się do Laury... Ta jedna okoliczność dawała w niej poznać niewiastę rozumną, obytą z ludźmi i umiejącą się do okoliczności zastosować.

– Raczysz mi waćpan dobrodziej przebaczyć, że śmiem jego samotność ulubioną przerywać. Nieszczęśliwi mają pewne prawa... a ja, panie szanowny, jestem bardzo nieszczęśliwa.

Westchnęła tak przejmująco, że zimny Dobek uczuł coś w piersi jakby wzruszenie mimowolne. Tak była piękną ta młoda niewiasta, a oczy starego od tak dawna nie napawały się widokiem bożego tworu... rozkwitłego do życia i promieniającego niem...

– Pan dobrodziej nie znasz mnie, mówiła dalej, choć byliśmy i jesteśmy sąsiadami blizkimi... Muszę mu się przedstawić sama. Imię nasze znane mu jest pewnie ze słychu przynajmniej, bo nieboszczyk mąż mój...

Tu chusteczkę poniosła do oczu suchych.

– Mąż mój od lat sześciu trzymał Smołochów...

– Więc pani Noskowa! pani Noskowa, odezwał się ręce zacierając Dobek... Bardzo mi przyjemnie... Niech pani siadać raczy... Lecz czemuż mogę...?

Sabina usiadła, Dobek krzesło sobie przysunął i zasiadł także, starając się obrać takie miejsce, aby pięknej mógł przypatrywać się twarzy, która go upajała aż mu przed samym sobą wstyd było... Nie uszło to pewnie oczu wdowy, która nadzwyczaj bacznie śledziła każdą najmniejszą zmianę na licu sąsiada... Głos jej stawał się coraz słodszy i pełniejszy zwodniczego uroku.

– A! panie, poczęła, poprzedzając mowę westchnieniem, a panie! Wdowa, sierota, sama jedna, bez krewnych, bez opieki... w rozpacz, przychodzę do ciebie błagać o radę i pomoc... Lękam się, ażeby Sapieżyńscy nie korzystali z położenia mojego i nie spędzili mnie z dzierżawy zapewnionej kontraktem na następne sześć lat... Nie mam nic oprócz tego co mi zostało w dzierżawie po mężu, nie wiem jeszcze jak się zemną obejdzie jego rodzina... Oni także zechcą pewnie z sieroctwa mego korzystać. Do kogoż ja się tu udam wśród tego pustynnego kraju?... Jeśli mi pan odmówisz...

Mówiąc to powoli, trąc oczy ciągle chusteczką, wdychając, poglądała na starego Dobka takimi oczyma, takim wzrokiem wyiskrzonym, jakby go oczarować chciała... Stary prawie przełknięty odwracał oczy, mieszał się, co też nie uszło uwagi Sabiny. Na ostatek sięgnęła białą dłonią po jego rękę, jakby ją ucałować chciała... Dobek z krzesła się porwał i odsunął.

– Moja mościa dobrodziejko, zawołał gorąco: nie potrzeba tu prośb... obowiązkiem jest wdowy i sieroty bez opieki zostające ratować... Lecz ja... domator jestem... prosty człek, nie prawnik,

pustelnik, odzwyczaiłem się od ludzi, odwykłem od świata... Mam przytem własną sierotę swoją... i – nie radbym być zmuszonym wychylać się z tego zakątka...

– A! ja też zbyt wielkich ofiar od niego wymagałbym nie śmiała, przerwała wdowa mrużąc oczy, z którymi dziwy wyrabiała; ja o nic więcej acana dobrodzieja nie proszę prócz żebyś raczył opiekę przyjąć nademną... a gdy na grunt zjadą czy Sapieżyńscy, czy bracia pana Noski, byś mi swej rady i protekcji nie odmawiał. Do Smołochowa dwie milki małe... kilka godzin... Bóg to panu wynagrodzi...

Pan Dobek namyślać się zdawał, spuścił głowę. Człek to był rozumny, nietyło mu szło o stratę czasu, o kłopot, jaki nań mógł spaść z tego powodu, jak raczej o pewne niebezpieczeństwo, którego groźbę czuł nad sobą... Po wrażeniu, które na nim czyniła wdowa, poznał stary Salomon, iż gdyby się, uchowaj Boże uwzięła na niego, łącznoby go – przydeptać mogła i zrobić zeń coby jeno chciała. Prędzusięńko obrachował skutki możliwej słabości swojej, a nuż zażąda tych najukochańszych dukatów? a nuż wymagać będzie podróży, prowadzenia procesu, oddalenia od Lorki?

Lecz mogłoby to znowu być, aby ta śliczna młoda kobiecina poznała się na tem, iż od pierwszego wejrzenia taką zyskała siłę nad pustelnikiem z Borowiec?

Od śmierci żony pan Salomon żył jak mnich, nie widując nikogo prócz wyschłej cioci Fryderyki, swego rumianego aniołka i tych istot rodzaju żeńskiego, na które nigdy oczu nawet nie podnosił i które na niego przesuwając się przez dziedziniec spoglądać nie śmiały... Nagłe zjawienie się tej wdowy przypadło snadź w jakiejś klimakterycznej chwili, nieszczęśliwy Salomon po kwadransie rozmowy czuł się wzruszonym nad miarę. Postanowił więc obiecać coby żądała, a potem się tak jakoś wywijać od bliższych stosunków, aby w starym piecu djabeł temi piwnymi oczyma, ocienionymi rzęsy długimi, palić nie mógł.

– Moja mościa dobrodziejko, rzekł kłaniając się: o ile ja nieumiejętny i niezdolny do spraw potrafię jej służyć, nie wiem, a wiele sobie nie przypisuję... wszelako chrześcijański obowiązek spełnić muszę i od niego wcale wyłamywać się nie będę...

Na te słowa, pani Noskowa porwała się jakby znowu chciała rękę jego chwycić i ucałować... od czego jednak przestraszony Dobek wyratował się prędkim cofnięciem, chociaż dotknięcie białych paluszków na suchej swej dłoni (uniknąć go nie mógł) poczuł jak gorące żelazo i piekło go ono potem... nie dzień cały, lecz bodaj lata długie...

Niespokojnemi oczyma piękna wdowa każdy ruch Dobka śledziła i decyfrowała, a snadź wprawna była w tem czytaniu, bo się nie myliła w tonie odpowiedzi i korzystała z usposobień z trafnością nad młode swe lata.

Im Dobek śpieszniej chciał obietnicą ogólnikową zamknąć rozmowę, aby się pozbyć wielce niebezpiecznej niewiasty, tem ona na przekór jemu widoczniej pobyt swój i posiedzenie na cztery oczy z jegomością przedłużyć się starała.

Usiadła znowu, siadł gospodarz ze spuszczonei oczyma... nie patrzył już na nią, ale przez uszy wpadał mu aż do serca słodki, drżący głosik kobiety, która nim wyśpiewywać umiała, snadź jak wirtouz, cokolwiek jej było potrzeba. Grała na tym bożym organku z niesłychaną wprawą...

– A! gdybyś pan znał, mówiła, smutne losy moje, ulitowałbyś się pewnie nad nieszczęśliwą wdową... Któż to mógł przewidzieć, gdy mnie nieboszyk pan Szczepan brał u matki w Warszawie, gdzie się tylu o mnie dystygowanych ludzi starało... że tak rychło po zamażpójściu wpadnę w taką otchłań interesów, kłopotów i nieszczęść! Matkę straciłam, nie mam nikogo! nikogo!

Chusteczką zakryła znów oczy i choć wcale nie płakała, jęknęła ślicznie, niby gwałtownie łyż wstrzymując, czem pan Salomon uczuł się do głębi przejętym.

– Moja mościa dobrodziejko, przerwał cicho, oczy dla ostrożności ciągle trzymając spuszczone: niech się pani ukoj, Pan Bóg łaskaw...

– A! chyba mi on w panu zesze anioła opiekuna! dodała wdowa...

Oczy trochę potarte i zarumienione zwróciła na starego, usiłując wzrok jego spotkać; trzymał się wszakże na ostrożności... co ją nieco zniecierpliviło.

– Już wielką z siebie dla nieboszczyka Szczepana uczyniłam ofiarę, mówiła dalej: opuszczając miasto, do którego od dzieciństwa nawykłam, a przenosząc się z nim na tę pustynię... lecz to niczem jeszcze w obec mojego dzisiejszego położenia... Wśród ludzi nieprzyjaznych... niechętnych... ja sama, nieudolna, kobieta słaba... Od śmierci mojego męża, ani wiem co się nawet u mnie dzieje... Gospodarstwo... fabryki: wszystko na łasce bożej...

– Przecież officialistów pani masz? rzekł Dobek nieśmiało podnosząc oczy, które napotkawszy wzrok pani Noskowej, natychmiast wlepił w ziemię.

– Czyż pan dobrodziej nie wiesz czem są oficjaliści, gdy nad nimi pańskiego oka niema? zawołała tęskno kobieta...

– Więc i gospodarstwo?... począł Salomon... ale siły nie miał dokończyć.

– Gdybyś pan dobrodziej znalazł jaki wolny dzionek, a jako mój opiekun, przybył chociaż spojrzeć na tę wdowią mizerję, jakżebyś mu wdzięczną była! A! panie...

– Moja mościa dobrodziejko... będę się starał... jeśli pani każesz...

Słowa te wymruczał Dobek niewyraźnie, przyszło mu bowiem na myśl, że jechać tam do wdowy, być zmuszonym przez dłuższy czas z nią pozostać, było rzeczą nader ryzykowną... lecz stało się – stało, cofnąć mógł chyba później... a zresztą?

Myśli swej już nie dokończył... Sam sobie zaczął tchórzowstwo wyrzucać i śmiać się z niego. Cóż znowu? stary człek, dochodzący pięćdziesięciu lat, miałby się lękać niebywałego o tym wieku niebezpieczeństwa? Podniósł oczy śmieiej... A grzechem przecie – pomyślał, nie jest – w piękne spojrzeć żrenice...

Pani Noskowa patrzała nań właśnie tą parą przymrużonych oczu słodkich i pociągających... Snadź uczuła potrzebę z kondolencyjnych tonów zejść na nieco spokojniejszą rozmowę.

– Więc – rzekła wyciągając dłoń jakby go kusiła, żeby ją wziął i pocałował, na co się wszakże Dobek ważyć nie chciał: więc rachuję na mojego drogiego opiekuna, a Bogu dziękuję, że mnie do tej podróży natchnął... A! bo to nie uwierzysz pan, jak mi odradzano, napróżno jak się zdawało do serca pańskiego kołatać! A jam sobie przeczuciem jakimś mówiła, że pan Dobek nie odepchnie sieroty nieszczęśliwej! I nie omyliłam się... Wiem ja, mówiła ciągle szczebiocząc, że panu, coś tu tak spokojnie wiele przeżył, przyjdzie to zapewne nie bez ofiary poświęcić swój spokój... dla obcej zupełnie... osoby... lecz chciej wierzyć, że dozgonną dlań, gorącą zachowam wdzięczność. A! panie...

Dobkowi tym głosem grała tak po sercu, że się aż czuł zmieszanym, nigdy w swem życiu na taką nie był wystawiony pokusę... Choć niepobożny, mimowoli z *Ojcie nasz*, przypomniał sobie prośbę: **I nie wódź nas na pokuszenie**... Oprócz tego przychodziło mu na myśl, iż musiało być we zwyczaju gościa, a zwłaszcza pupilkę, czemś przyjąć i ugościć? Zrobiła mil okrutnych dwie ze Smołochowa do Borowiec, miała przed sobą powrót ku wieczorowi po tych samych groblach i wybojach, godziło się coś na stół postawić.. Myśl ta upiekła go, wstał z krzesła.

– Niechże pani dobrodziejka spocznie, rzekł: ja w tej chwili powracam... Skłonił się i wyszedł drepzcząc pośpiesznie w lewo ku mieszkaniu cioci Henau...

Wdowa za wychodzącym popatrzała wzrokiem badającym i rozjaśnionym; potrzebowała nawet chód jego poznać, bo i ten ją czegoś o charakterze mógł nauczyć. Czyniła to instynktem, a instynkt miała szczęśliwy...

Dodajmy dla objaśnienia, iż ta nieszczęśliwa wdowa, nim się ośmieliła przybyć do Borowiec, dowiedziała się jak najdokładniej wprzód od księdza Żagła, który ze mszą do smołochowskiej kaplicy przyjeżdżał: o położeniu, charakterze, niezmiernych bogactwach, sposobie życia, o wszystkim o czemkolwiek tylko można się było poinformować od niego, o panu Salomonie Dobku... Widzenie i rozmowa dopełniały dla niej skreślonego wizerunku. Nie miała zapewne innych zamiarów nad zyskanie sobie pomocy i opieki; dopiero tu przypatrzawszy się staremu i czytając jego pomieszanie, odkryła, iż mogłaby o coś się więcej pokusić. Myśl ta zarysowała się z razu mgliście i

niewyraźnie, lecz wkrótce wystąpiła jaśniej, i Sabina powiedziała, uśmiechając się do siebie: Któż wie? trzeba próbować...

Miała czas do rozmyśłów zostawszy sama, pan Dobek bowiem poszedł na radę do cioci Henau: coby tu podać sąsiadce? Pora była poobiednia, więc owoce i kawę.

Laura przytomna była tej naradzie.

– Niechże i Lorka wyjdzie! rzekł Salomon.

– O! nie, tatku! nie! ja nie pójdę! odpowiedziało dziewczę potrząsając głową: niech sobie ciocia Fryderyka gospodaruje, ja nie pójdę...

– A to dla czego? dziczku ty jakiś! zaśmiał się ojciec.

– Takem się tej pani nastraszyła! Tatko nic nie wie. Bawiłyśmy się z małą Julką... wpadam do salki... którą od urodzenia nawykłam widzieć pustą... i widzę... czarne widmo stojące przed sobą. Myślałam, że upiór! o mało nie zemdlałam.

Dobek ręce aż załamał.

– Czy ci to nie zaszkodzi, moje dziecko?

– Nie, już mi odeszło, chociaż długo, długo potem biło mi serce... mówiła Laura... Jednak spojrzeć na nią nie mogłabym bez strachu... Zdaje mi się, że widzę upiora, który przyszedł po duszę moją...

Dobek pobladł...

– Co ty pleciesz! tak piękna, młoda pani!

– A! młoda! ale straszna! Co za oczy przenikające do głębi! O! nie każcie mi tam iść, nie mogę, nie mogę. Dostyc miałam i widzenia i rozmowy! aż nadto!

Ojciec się zafrasował, bo niegrzecznie było, żeby Laura się nie ukazała; lecz uległ dziecku i nie wymagał więcej, by zeszła do parlatorjum.

Uściskał ją, pocałował, a wrażenie, z jakiego mu się wypowiadała Lorka, zwiększyło własną jego obawę co do pani Noskowej.

Pospieszył wrócić do salki...

Tu zastał panią Sabinę przechadzającą się wzdłuż i przyglądającą ciekawie starożytnym pamiątkom.

– Jak to już dawno rodzina państwa tu musi zamieszkiwać! Co tu ślicznych dawnych rzeczy! Wszak to być muszą portrety dziadów i naddziadów...

Mówiła to miłszym jeszcze, dźwięcznym głosem, który wkuł Dobka w miejscu. Bał się szelestem swych kroków zagłuszyć śpiewu tak ślicznego.

– Tak jest, pani, odparł cicho: wieki już jak żyjemy tutaj... i nie zamienilibyśmy tych naszych ruin na najwspanialsze pałace... Żyjemy otoczeni wspomnieniami pokoleń ubiegłych, jakby w pośród nich i z niemi... Mamy tutaj to, o co się gdzieindziej ludzie ubiegają napróżno: jesteśmy panami czynności naszych i całego życia. Nikt nam nie broni urządzić go sobie, tak jak nam najmilej i najdogodniej... obce a zazdrosne oko nie śledzi każdego kroku...

Piękna wdowa słuchała z zajęciem pana Salomona, który wreszcie powstrzymany w tem wynurzeniu się myślą jakąś... nagle zamilkł, jakby się za język ukąsił.

– Jest to zapewne bardzo nieszczęśliwe położenie, odparła Noskowa oglądając się ciągle; ale jednak – wyznam, nawyknąć do niego potrzeba. Ja moją młodość spędziłam w mieście, i przybywszy z mężem pierwszy raz do Smołochowa, choć u nas daleko więcej się ludzi widzi i czasem ktoś z sąsiedztwa przyjeżdża, płakałam, tak mi się pusto i smutnie wydało na Polesiu. Teraz już znacznie do tego życia nawykłam...

– I myślisz tu pani tak sama jedna pozostać przy tem gospodarstwie? spytał Dobek.

– A cóż mam począć! westchnęła Sabina; ja sama jeszcze dobrze nie wiem jak się złożyć! Uczynię pana sędzią, a jego łaskawej rady usłucham z wdzięcznością. Matki nie mam, rodzina moja po świecie się rozpierzchnęła, dokądzeby się udała?

To co mówiła piękna wdowa, było jakby tylko mało znaczącem i podrzędnem towarzyszeniem mowie niemej jej oczu, które wciąż na nieszczęśliwym Dobku się znęcały. Stary nie mogąc znieść jej wejrzenia, spuszczał żrenice i zakłopotany był jak panienka. Tłómaczył sobie to natręctwo wdowy tylko chęcią zyskania go sobie jako opiekuna, bo zresztą, na cóżby się miał zdać ten niedobitek człowieka?

Rozmawiali tak, gdy stary Elias, najpierwszy ze sług Dobka, ubrany odświętnie w długą popielatą kapotę z ogromnymi guzami, wniósł na ciężkiej tacy srebrnej kawę w imbryku ogromnym, filiżanki i cały przybór do podwieczorku, po którym poznać było można zamożny dom stary, niegdy na pańską urządzony stopę.

Za nim weszła, jak zawsze czarno całkiem ubrana, wyprostowana i sztywna ciocia Henau, którą gospodarz domu zaprezentował pani Noskowej. Spodziewała się ona snadź przyjścia Laury, lecz nie widząc jej, nie śmiała się o to upomnieć. Panna Fryderyka i ona zmierzyły się oczyma i powitały chłodno jak nieprzyjaciele przed bitwą. Nie wiedzieć dla czego, ciocia Henau szła już naprzeciw tej natrętnej sąsiadki z tem uczuciem niechęci niewytłómaczonej, które czasem samo nieznane obudza nazwisko... Świeża i krasna piękność pani Noskowej, nie mogła miłego na żółtej i wyschłej cioci uczynić wrażenia, a wzajemnie panna Fryderyka nie podobała się wdowie... Jednakże z uśmiechem obie zwróciły się ku sobie, którego ani jedna ani druga za dobrą monetę nie brały. Noskowa nie wiedząc spełnia jaką rolę i wpływ w domu mogła mieć Fryderyka, musiała być grzeczna i nadskakująca... tamta pozostała zimną.

Dobek tymczasem mógł nieco odetchnąć, zebrać myśli i obrachować się z tem co uczynił. W ogóle postępowanie własne nie podobało mu się: czuł, że popełnił nierozwagę, że winien był się wytłómaczyć, bronić i od opieki wymówić... Któż wie jak daleko przyjęcie na siebie tych obowiązków zaprowadzić go mogło? Niewiasta była śmiała, narzucająca się... a gdy taką się okazywała przy pierwszym spotkaniu, cóż mogło być potem? Przerażały go owe spojrzenia, urok głosu... piękność, sieroctwo... wszystko... Ogarnęła go trwoga dziwna... Lecz jakże się było cofnąć? Rozmyślał tak stojąc w oknie, a panna Fryderyka rozmawiała o czemś obojętnem z Noskową, gdy usłyszał jakby ku sobie wymierzony głos.

– Łaskawy mój opiekunie, odezwała się wdowa zwracając w istocie ku niemu, bo ja już tak pana mego nazywam od chwili, gdyś mi protekcję swą przyrzec raczył: kiedyż będę miała szczęście widzieć go u mnie w Smołochowie.

Dobek oniemiał na chwilę...

– Moja mościa dobrodziejko, rzekł po namyśle: sądzą, że dopiero gdy Sapieżyńscy zjadą, lub ktoś z rodziny pani... a potrzeba się okaże... mojej rady... i pani mnie zechcesz wezwać...

– A! tak, tak z uśmiechem przerwała wdowa; lecz nim to nastąpi! gdybyś pan raczył przejrzeć papiery, rozpatrzeć się w stanie majątku wejść cokolwiek w szczegóły... nieskończeniemyb mu była wdzięczna...

Obawiając się jeszcze natarczywszego zaproszenia, pan Salomon się skłonił tylko, czując potrzebę namyslenia i uspokojenia, przygotowania na tę straszną wyprawę.. Wdowa też tą obietnicą ogólnikową zdawała się zaspokojoną i dokończywszy kawy... wstała, by odejść do miasteczka, gdzie konie pozostawiła. Nie mógł się pan Salomon uwolnić od przeprowadzenia jej na dół po schodach... co dopełnił dosyć niezręcznie... Wdowa stanąwszy w bramie, gdzie na nią służący oczekiwał, odwróciła się jeszcze ku Dobkowi, uśmiechnęła się nader wdzięcznie, dygnęła i głosem drżącym poleciła się jego pamięci.

– Wszak to chrześcijański uczynek, rzekła, dopomóż wdowie i sierocie, a ja i wdową jestem i sierotą razem... Mam nadzieję, że na łaskawą bytność pańską w Smołochowie długo oczekiwać nie będę...

To mówiąc, schylała się jakby go w ramię pocałować chciała, i nie wiedzieć jak się to stało, że Dobek zapomniawszy się, pochwycił białą jej piękną rączkę i do ust przycisnął. Sam potem podnosząc głowę zarumieniony, zawstydył się tego uczynku, który rumieniec radości na twarz

pięknej wdowy wywołał... i gdy ona już szła drogą do miasteczka, z wolna upokorzony wrócił wprost do swej kancelarii na dole.

Wdowa tymczasem zamiast iść do zajazdu, gdzie jej stały konie, udała się za wskazaniem służącego drożyną ku plebanji księdza Żagła... Miało się już ku wieczorowi, dzień był letni... bardzo piękny... w ganku probostwa pod cieniem lip i kasztanów, siedział właśnie z brewiarzem w ręku kanonik. Był to siwiejący już słusznego wzrostu mężczyzna, twarzy raczej posępnej i surowego wyrazu niż miłej i sympatycznej, znać w nim było człowieka nawykłego do panowania nad ludźmi i przejętego wielkiem posłannictwem swoim... Zaczuty w księdze, zadumany nad nią, jeszcze się nie domyślał nawet nadchodzącego gościa, gdy pani Noskowa w ganku stanęła... Zdziwiony nieco podniósł głowę i powoli opuszczając brewiarz, zawołał:

– Pani dobrodziejka? tu? a cóż za cud? W Borowcach obcy człowiek? Cóż się stało?

– Pozwól mi się i odetchnąć księżu kanoniku, poczęła Noskowa, której głos, postawa, ruchy zupełnie się teraz zmieniły... We dworze widocznie była wymuszona i baczna na wrażenie jakie uczyni, teraz w obec starego znajomego twarz jej śmielszą się stała, wejrzenie poufalsze... mowa mniej wyszukana. Czuć było, że jej tu lżej i swobodniej, oglądała się do koła, uśmiechała, poprawiała ubranie, ocierała oczy...

– A! rzekła – na koniec, odbyłam straszną pańszczyznę...

– Droga okropna być musi! zawołał kanonik.

– Droga! fraszka! ale bytność na zamku...

– Na zamku! na zamku! wykrzyknął kanonik kładąc brewiarz na ławce i z rękami załamanymi postępując ku wdowie: jakto? pani byłaś na zamku? u Dobków?

– A no, byłam, byłam i miałam przecie szczęście, rzekła uśmiechając się wdowa, rozmawiać z panem Salomonem... nastraszyłam jego córkę, znudziłam, jak się zdaje, jego kuzynkę... i zmęczyłam starego... ale koniec końców, przyrzekł mi być opiekunem i obrońcą.

To mówiąc, wdowa uśmiechnęła się tryumfalnie, zamyślona, a kto by był umiał czytać w jej twarzy, wyczytałby może w niej nadzieję, że te zdobycze na tem się jeszcze nie skończą...

– Jejmość dobrodziejka widzę, rzekł kanonik wpatrując się w nią, lekce to sobie ważyć się zdajesz coś dokazała. Ale to rzecz wielka! to prawie cud kto zna tych Dobków, przeszłych i terażniejszego. Są to ludzie, jest to rodzina unikająca wszelkich styczności ze światem, niedająca ani się dotknąć do siebie obcym, ani wejrzeć w swe życie... Nasz pan Salomon nie wiem czy od śmierci żony rozmawiał z obcą niewiastą! Nigdy żaden z nich nikomu ręki i rady nie podał! I on, on pani przyrzekł opiekę!

– Ale tak jest, najuroczyściej! śmiejąc się rzekła wdowa... No! dziki jest, to prawda... ale ja go powoli przyswoję... Musi przyjechać do mnie, do Smołochowa...

Kanonik popatrzał uważnie na twarz wdowy, jakby w niej myśli jej czytał, i głową poważnie trząść zaczął, brwi ściągając...

– Cóżby to było! coby to było! gdybyś ich waćpani mogła z tego zgubnego osamotnienia wyprowadzić! zawołał. Niewyrachowane a bardzo szczęśliwe owoce przyniosłaby ta bytność jej na zamku... Winszowałbym pani tej zdobyczy... i wpływu, jakibyś na ojca, na córkę, na cały ten dom wyrzucić mogła.

Ja tu z dawna żyję, jak pani dobrze wiadomo, patrzę na nich, niejednokrotnie zbliżyć się starałem... nie mogą mi nic zarzucić, a mam za sobą powagę sukni duchownej i stanu kapłańskiego... przecież zimną mnie zawsze oblewali wodą i zasieki stroili przedemną, abym się nadto nie zbliżał...

Dobek, człek zdziwały, o groszu tylko myślący! Laura puste i popsute dziewczę, której woli nikt i nic pohamować nie może, a co się tycze panny Henau, tej nikt nie zrozumie... Nie wiem czym trzy słowa z ust jej słyszał, od czasu jak tu jest.

Ruszył ramionami kanonik, i mówił dalej:

– Bardzobym jejmości dobrodziejce winszował, gdybyś do tego domu wniść mogła, a użyła wpływu swojego na dobre... co jest jej obowiązkiem.

Wdowa milczała, i oczy wlepiwszy w kanonika, słuchała go z wielką uwagą.

– Katolicy są, mówił ciągle proboszcz, a mimo to.. ani do kościoła, ani dla sług jego nic nigdy na zawinięcie palca dać nie chcą, nic ich nie obchodzi, czy dach na kościele pada, czy bydło na grobach cmentarnych się pasie... prawda, że oni swoje groby zabezpieczone pod kluczem trzymają. Stary Salomon obrzydły skąpiec i jak żyd chciwy na pieniądze.

– Czy myślisz księże kanoniku, że w istocie tak bogaty jak ludzie głoszą? spytała cicho Noskowa.

Kanonik się uśmiechnął.

– Moja mościa dobrodziejko, rzekł, to co ludzie głoszą, jest zaledwie częścią tego co on ma... Mogę obrachować co od czasu mojego tu pobytu wzięli za same towary leśne przez ręce Arona... Ogromne summy wpłynęły, grosz nie wyszedł nigdzie... Ten człowiek musi mieć skrzynie złota! A z tego, co mu po dziadach i ojcu zostało... bo wszyscy byli oszczędni – wszak także nie wydano złamanego szeląga.

Pani Noskowa z zajęciem wciąż słuchała opowiadania, oczy się jej paliły widocznie... marzenie jakieś chodziło po czole, które się ściągało i wygładzało... po ustach uśmiech błędził dziwny, zagadkowy.

– I wszystko to, dokończył ksiądz Żagiel, wszystko to spadnie na tę dziewczynę, którą tak wychowali, że tego nikt w świecie na żadnym nie utrzyma wędzidle...

– Czy tak swawolna? spytała wdowa.

– Swawola dziecinna byłaby niczem, odparł ksiądz, tę sam wiek wystudza; lecz umysł niespokojny, nie kobieca śmiałość w niej, ciekawość do wszelkiego zakazanego owocu, do ksiąg, do wiadomości kobiecie niepotrzebnych; chwili nie usiedzi, choć ją ta panna ciocia o ile może na uwięzi trzyma... Jeśli nie przewraca książek w starej bibliotece, gdzie więcej herezji niż czego zdrowego, to koło stajni ją znajdziesz... to w ogrodzie, to na drabinie w starym zamku, to w czółnie na rzece... A dla ojca ze wszystkiego uciecha... z tego nawet coby dlań troską i smutkiem być powinno.

Ciocie Henau, gdy ją od czego chce powstrzymać, jeśli jawnem nieposłuszeństwem nie może zmódl, to ją zdradliwymi pieszczoty i pochlebstwy na swą stronę przeciągnie. Toż z ojcem, toż z innymi.

– Ale zkądże ją ksiądz kanonik tak zna, spytała wdowa.

Ksiądz Żagiel westchnął i wskazał zamek...

– Wszak-ci to moja troska powszednia, to zdziczałe dziecko! rzekł cicho. Ja się patrzę cały dzień na te wybryki, słucham o nich i boleję nad duszą zgubioną... której uratować nie mogę... Powiem asindzce tylko jedno, dodał w końcu, a poznasz ją lepiej.

W kościele, gdy przyjdą, nie mogę powiedzieć, żeby mi się nieprzystojnie znajdowała, pada na kolana, zdaje się przejęta, lecz... ust nie otworzy do modlitwy. Raz tedy, gdyśmy litanje odmawiali publicznie, dostrzegłszy, że nie odpowiada... będąc na zamku po nabożeństwie, jak to zwykła w dni krzyżowe, spytałem jej łagodnie o przyczynę.

Spojrzała na mnie zdziwiona, a pamiętaj pani, żeć to szesnastoletnie dziecko i wiesz pani, jaką otrzymałem odpowiedź? „Ja się nie mogę modlić na rozkaz, ale gdy czuję, że dusza moja podnosi się ku Stwórcy... nie modlę się usty, – modlę duszą!”

Nie było co mówić więcej... to już pachnie herezją ta samowola w modlitwie... a jeszcze w takim dziecku!

Pani Noskowa ruszyła ramionami.

– Przynoszą z sobą książki do kościoła, mówił kanonik... trudno tam zaglądać jakie... Raz przecież roztargniona panienka zapomniała swojej... zajrzałem odsyłając... Cóż pani myślisz było w książce? Psalmi... nic, tylko psalmi... i strasznie mi podejrzane czy nie jaki Luter je tłómaczył... To rzecz wiadoma, rzekł ciszej ksiądz Żagiel, iż kalwinami, potem arjanami byli, i nawrócili się jeno z musu... aby dóbr nie stracić i nie uchodzić z kraju... a no! podejrzewam ja to nawrócenie, podejrzewam je mocno...

Kanonik począł głową trząść.

– Trudno, rzekł, być inkwizytorem sumienia, niech tam Bóg sędzi...

Otóż w tem, osoba pobożna, katoliczka, gorliwa jak pani, dokończył ksiądz Żagiel, mogłaby mieć zasługę, gdyby zbliżając się do nich, innemi sentymentami natchnęła...

Pani Noskowa skromnie oczy spuściła.

– Ja jestem prosta kobieta, mój ojciec... a zresztą, wpływu na nich trudno mi się spodziewać... Bóg wie, jak mi to się uda.

– Przecież najtrudniejsze już się udało, odparł ksiądz Żagiel, bo się tem nikt nie pochlubi, żeby do nich docisnął, a pani nawet przyrzekł, że się zajmie interesami! Widoczny cud!

Westchnął proboszcz i dodał:

– Różnemi Bóg posługuje się narzędziami, różnych dróg i środków używa, gdy ma dzieła dokonać... w Jego rękach co słabe staje się potęgą, a co silne kruszy się i rozpada... W każdym razie, winszuję...

Jakże się księdzu kanonikowi zdaje: dotrzyma mi on obietnicy? spytała wdowa, bawiąc się z chusteczką; ma przybyć do Smołochowa?

– Słowa on dotrzymuje zawsze, odparł proboszcz, ale rzadko je komu da.

– A nie możnażby wiedzieć naprzód, kiedy przyjedzie? dodała Noskowa.

– Przynajmniej nie przezemnie, śmiejąc się dodał ksiądz Żagiel, bo ja wcale nie wiem co się we dworze dzieje i chyba wypadkiem ktoś mi co ztamtąd nierychło przyniesie. Najprędzejby Aron mógł dać znać dla niego Dobek nie ma pono tajemnic.

– Aron? Aron? powtórzyła ciekawie Noskowa wiążąc węzełek na chustce – Aron...

– Przez Arona tam robi się wszystko...

– A ten Aron jest zapewne ubogim faktorem? spytała wdowa.

Ksiądz się rozśmiał.

– Aron Levi? ha! ha! Aron Levi ma pewnie więcej od nas obojga... a mało mniej od swojego pryncypała... handlują razem na spółkę...

– Z żydem? on?

– Ja sędzę, że on by z tatarem handlował, gdyby zarobku był pewien...

– Aron ma pewnie dom w miasteczku? wtrąciła pani Noskowa.

– Ma murowaną kamieniczkę w rynku, a inne domy większe w kilku miastach...

Po kilku jeszcze pytaniach i odpowiedziach, zamyślona jejmość zerwała się żywo z siedzenia jakby przebudzona, uśmiechnęła się weselej, i pocałowałwszy kanonika w rękę, wyszła do koni swoich w miasteczku...

Wkrótce potem powóz jej toczył się ku lasom w stronę Smołochowa...

III

Nie ma smutniejszego widoku nad walkę z sobą człowieka, który czuje, że z niej nie wyjdzie zwycięzcą. Są wypadki, w których ucieczka jedynym w istocie ratunkiem: ani się wstydzić może ten, co z placu uchodzi przed przewyższającą siłą, jeśli żyć jeszcze chce a ofiarą paść nie potrzebuje. W takim położeniu był pan Salomon Dobek, rozmyślając o pięknej wdowie, której niespodzianie został opiekunem. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że ta kobieta opanuje go gdy zechce... i że chce go opanować! Widział jasno nieszczęśliwy, że bogactwa nagromadzone, o których ludzie nie mogli coś nie wiedzieć, ściągnąć nań gotowe chciwością wiedzioną kobietę, panią swej woli i nie zależną od nikogo, oprócz własnej fantazji i rachuby. Piękność tej niewiasty przerażała go i pociągała razem, czuł się w obec niej słabym... Kilkanaście lat osamotnienia czyniło go młodzieńczo wrażliwym, – pierwsze spotkanie z wdową dowodziło, że chciała go ku sobie przyciągnąć...

Przywiązany do dziecka... trwając się o los jego... zarazem już w duszy tłómaczył się sam przed sobą, iż Laurze krzywdy nie uczyni, ani da wyrządzić, że ona zawsze zostanie dlań najmilszą, najdroższą, jedyną... Lecz same te przypuszczenia już dowodziły poczucia słabości i trwogi...

Wszakże widział ją ledwie raz w życiu, a wszystko co mu na myśl przychodziło, mogło być urojeniem. Po cóż miał się dać spętać i zaprzedać wolność swoją, a może przyszłość dziecięcia?

Odpędzał te mary – wracały... W kilka dni niepokój jakiś w duszy począł go pędzić do spełnienia obietnicy. Należało jechać do Smołochowa... zbyć co najprędzej ten obowiązek, a potem.. uwolnić się... oswobodzić na wieki i wrócić do pracy.

Panna Henau słyszała przy kawie przyrzeczenie dane wdowie, nie wspomniała jednak o niem Laurze, gdyż wiedziała, że to na niej przykre zrobi wrażenie. Sposób w jaki się jej po raz pierwszy okazała pani Noskowa, był powodem, iż Lorka wstręt jakiś powzięła do niej... mogła więc i musiała być przeciwną podróży ojcowskiej, zwłaszcza, że ta była całkiem niezwykłym krokiem... i wyłomem w życiu spokojnym, którego porządku nic dotąd nie naruszyło.

Dobek bił się jeszcze z sobą, gdy jednego dnia Aron Lewi, gładząc brodę i uśmiechając się, przystąpił doń z cichym szeptem:

– Jasny panie, cóż to? Aron nic nie wie o tem, że się jegomość wybiera do Smołochowa?

Pan Salomon aż cofnął się od żyda z pewnym przestachem.

– Ja? do Smołochowa? a tyż zkąd wiesz o tem?

– Przecie ja powinienem wszystko wiedzieć, spokojnie odparł Aron; jaśnie pan znasz mnie dawno i lepszego pewnie sługi, a mogę powiedzieć przyjacielu, nie masz nademnie. Już to źle, że jegomość się mnie dawno sam nie spytał o to... A gdybyś jaśnie pan zapytał mnie, jabym potrząsnął głową i powiedziałbym po cichu: „Niech jasny pan nie jedzie do Smołochowa.

Dobek popatrzał nań trwożliwie.

– Zmiłuj się, kochany Aronie! zawołał pośpiesznie głosem stłumionym, oglądając się w koło. Zkądże wiesz i dla czego mi to mówisz?

Stary wciąż siwą brodę w dół ciągnął i gładził... Podniósł brwi czarne (bo mu z ciemnych włosów tylko one zostały jak były), i cedzonym głosem począł też cicho:

– Ja to wiem tylko, że ona tam, ta jejmość wielką wagę na to kładzie, żeby pan do niej przyjechał. A jeśli ona tego chce, ja się boję i pan się lękać powinien. Ona wie, że ja u jegomości mam łaskę, to zabiegała już aż do mnie, do żyda, żebym ja pana do tego namawiał. To źle, to bardzo źle, dodał Aron...

– Ależ mój Aronie, przerwał Dobek: tego nie wiesz, że ona wdowa, sierota, i potrzebuje rady i opieki.

Aron się uśmiechnął, ramionami rzucając.

– Aj! aj! szepnął, to bardzo mądra kobieta, ona potrafi sobie dostać czegokolwiek jej potrzeba.. Ja krótko powiem jegomości: albo ona na pańskie pieniądze się łakomi... albo jegomości chce złapać razem, żeby się do nich dobrać...

Pan Salomon zbladł.

– Mnie złapać! zawołał; ale patrzajże na mnie, mam blisko pięćdziesięciu lat... a ona...

– To najgorzej, że jegomość masz pięćdziesiąt lat... rzekł Aron... Pan jesteś stary a żyłeś jak pustelnik, nad panem ona będzie miała panowanie łatwe, jak tylko zechce... a że ona zechce...

Nie kończąc machnął ręką.

– A co się stanie z panną Lorką? z tym kochanym dzieckiem, z tym ślicznym kwiatkiem? a co się stanie z temi skarbami, które jegomość w pocie czoła zbierał? Czy to ma pójść w obce ręce?

– Aronie! co gadasz! co gadasz! wybuchnął Salomon: gdzież do tego podobieństwo! za kogoż mnie masz?

Żyd powoli poważnie odparł:

– Za człowieka... Mój jegomość – dodał, ja i sam trochę, i przez swoich znam tę panią ze Smołochowa... ja tam bywałem za życia jej męża, wiem z kąd on ją wziął, a patrzałem się na nią często... To jest niebezpieczna kobieta...

Dobek nie odpowiadał, zmieszany stał jak na sądzie przed starym Aronem, który mówił cicho i z wolna:

– Jej matka służyła na królewskim dworze... a ojciec? ojciec się gdzieś podział, że o nim dawno nie było słyhu. Jejmość miała sklep z czepkami przy Senatorskiej ulicy... Pan Nosko był impetyczny człek, zobaczył, że piękna... a nie można było tylko się ożenić, wziął i ożenił się. Dziewczyna z miasta... a gdy za męża szła... rozumniejsza była od tego co ją brał... Od tego czasu... jeszcze jej rozumu przybyło... Ona za nieboszczyka wszystkim tam rządziła... robiła co chciała...

Sierota i wdowa! aj! aj! rzekł Aron: na co jej mąż? na co opiekun? ona więcej rozumie niż jegomość i ja... Ja u niej tylko raz drzewo kupowałem i oszukałem się.

Wrażenie, jakie opowiadanie Arona czyniło na Dobku, było widoczne: stary był wylekły, to co słyszał potwierdzało jego przeczucia. A jakże się było od bytności w Smołochowie uwolnić?

Po chwilce namysłu... Dobek rzekł chłodno do Arona, który bacznie się w niego wpatrywał:

– Dziękuję ci bardzo za twoją troskliwość i dobre serce, mój Aronie; lecz masz mnie widzieć za człowieka tak słabego, tak łatwego do wzięcia... jak niedorośle dziecko? Cóż ci się śni, żeby ona myślała na mnie czynić zasadzki, a ja wiedząc o nich, miał w nie wpaść?

Dałem jej słowo, to prawda, że do Smołochowa przyjadę, no to cóż? Pojadę, posiedzę, powrócę i tyle tego.

– Pan się nie boisz? spytał Aron.

– Ja? nie!

– To źle! szepnął Lewi, to bardzo źle... Ale cóż mnie do tego? rzekł po chwili: ja swoje zrobiłem... Niech pan na pannę Lorkę pamięta... więcej nie powiem.

Dobek zaczął frasobliwie przechadzać się po pokoju i wkrótce rozmowę odwrócił na wańczosy i bale, które płynęły do Gdańska. Aron już nie wznowił przedmiotu drażliwego, lecz z pewnym niepokojem śledził wyraz twarzy Dobka.

Pan Salomon pożegnał go jak gdyby zawstydzony.

Postanowił co najprędzej zbyć się ciężaru wiszącego mu nad głową: tegoż dnia wieczorem poszedł do córki.

Mieszkanie jedynaczki było złotą klatką ukochanego ptaszęcia... Składały je dwa pokoje, obok których miała swoją sypialnię ciocia Henau... Okna ich zwrócone na ogródek, zamek, rzekę i widok ku dalekim lasom, błyszczały nowymi szyby sprowadzonymi z za granicy. Sprzęt wszystek powoli przypłynął z tego Gdańska, gdzie przepych kupców ściągnął z całego świata co najwytworniejszego się gdzie znalazło... Rzeźbione szafy, weselszej tylko barwy niż stojące w parlatorium, półki robotą tokarską, ozdobne bronzami złoconymi, misterne krośna, kołowrotki z różnego drzewa wysadzone

kością słoniową i perłową macicą, bursztynem wykładane sepeciki, szkatuły z mozaik florenckich... porcelany chińskie i japońskie, ogromne wazony z Delftu... czegoż tam nie było! Jedna klatka złocista dla kanarków, cudo misterstwa i gustu, kosztowało może skutę zboża... Znać było miłość ojcowską, która nagromadziła dziecku zabawek, by mu ozłocić życie samotne.

Wśród tych świecideł i błyskotek... tu i owdzie leżały książki poprzewracane, pozakładane, rozpoczęte i niedoczytane... książki różnych formatów i wieków, poczynawszy od foliantu aż do elzewira w pargaminowej sukience... Fantazja Laury nie dopuściła tu wielkiego zaprowadzić porządku, ręka jej stawiała i odstawiała snadź co się jej sprzykrzyło, czego zażądała bliżej... Pączek kwiatów leżał na książce, książka na rozpoczętym dywanie, dywan na zmietym płaszczyku... Dziesięć różnych robótek w wielkich i małych stało krosienkach... Maleńki klawicymbalik z nutami i cytrę na nim rzuconą widać było w kątku. Mimo tego pozornego nieładu, pokój Laury stanowił obrazek śliczny samą różnaitością przyborów i sprzętów, którymi był zarzucony... Dziwnie miła woń ledwie pochwycona szła z tych różnych drzew, laków, szufladek i pudełeczek... pachnących jeszcze lasami, z których je ręka ludzka dobyła. Laura siedziała w ogromnym fotelu, z wielką książką na kolanach... głowę miała wspartą na poręczy i włosy w nieładzie... Biała jej sukienka potargana bieganiami, szeroka, spadała do koła na ziemię w bogatych fałdach połamana.

Zobaczywszy ojca w progu, rzuciła książkę bez ceremonii na ziemię, z wielkim trzaskiem starych jej drewnianych okładek; zeskoczyła z fotelu, podbiegła ku niemu i uczepiła mu się na szyi. Dobek pocałował ją w czoło, pogłaskał ręką drżącą i coś zamruczał niewyraźnie...

– Otóż widzisz, rzekł spoglądając na foliant leżący na ziemi: nie masz jeszcze pulpitu do tych ogromnych utrapionych tomów... które ci kolana pokaleczą... Niechże Aron postara się, żeby z Gdańska piękny przywieźli... jak należy dla Lorki...

– Ale niech będzie na kółkach! dodała dziewczę, bo ja mu nie dam stać na miejscu...

To mówiąc pobiegła do kwiatków leżących na stole, i piękny holenderski gwoździć wpięła ojcu w pętlę od szarej kapoty...

– Jak to mnie staremu przy kwiatku! rozśmiał się Dobek: tobie to z nim do twarzy, bo ty sama jesteś kwiatem... a ja grzybem...

Potrząsnął głową.

– A wiesz ojczu... przerwała nagle: gdybym ci pokazała śliczny jak najpiękniejszy kwiat grzybek ponsowy, aksamitny, który przyniosłam z lasu... tobyś dopiero się przekonał, że i grzyby piękne być umieją... wykwitał tak jakby z gałązki...

Dobek usiadł na krześle, obejrzawszy się czy na niem co nie leży.

– No, moja Lorko, rzekł: przyszedłem ci jedną osobliwszą zwiastować nowinę. Wszak to ja, jutro na cały dzień jadę.

– Ojciec? dokąd?

– Do Smołochowa.

– Ojciec do Smołochowa? po co?

– A! to widzisz... dla tej nieszczęśliwej wdowy, którą niegodziwi ludzie chcą pokrzywdzić; prosiła mnie ze łzami, przyrzekłem.

Lorka zmarszczyła brwi i skrzywiła usteczka.

– Przyrzekłeś? przyrzekłeś? odezwała się. Mnie to przykro! Taka straszna... takim się jej przelekła... Ciągłe mi upiorem stoi przed oczyma... O! gdybyś mógł nie jechać!

– Ależ dla czego?

– Dla czego?... powoli poczęła Laura: ja sama nie umiem powiedzieć dla czego... a boję się o ciebie – i dałabym wiele, gdybyś nie jechał... Wiesz ojczu... Dobkowie nie jeździli nigdy nigdzie... tylko... żeby się zenić... Mnie serce przeszywa śmieszna myśl... A!..

Rzuciła się ojcu na szyję, potem przyklękła przed nim, złożyła ręce, zapatrzyła się w oczy. Nie pojedziesz ojczuniu... drogi tatku! nie pojedziesz? Chcesz ratować ją? A! dobrze! Daj jej pieniędzy,

wszak ludzi zwykle ratuje się tylko pieniędzmi... wszak dla nich wszystkim pieniądze, i ona nie może żądać niczego innego tylko jałmużny... Daj jej królewską jałmużnę... ale – nie jedź ty do niej.

Na te wyrazy wymówione z trwogą i ogniem, stary pan Salomon oniemiał prawie. Własna jego obawa, rada Arona, prośba córki, wszystko się składało na jakieś przeczucie nieszczęścia; nie chciał jednak okazać po sobie że się zawahał... i że w nim ciekawość uparta walczyła zjadale przeciw tym głosom proroczym.

Uśmiechnął się z przymusem.

– Moja Lorciu! zawołał... jakżeby to było śmiesznie zląknąć się kobiety bezbronnej! Dla czego? Cóż mi się stać może?

– A dla czegoż ja się boję i drzę? zapytała Laura... dla czego jej głos wpadał mi aż do serca i krajał je boleśnie? dla czego ta piękna twarz zdała mi się obliczem kata?

– Boś ty, moje dziecko, marzycielka i dziwaczka... Wszakże czasem ci się zdaje, że kwiatek ma wyraz złośliwy, że ptacy cię łajają świergocząc...

– To prawda! tatku, odparła Laura, ale ja... ja jestem przekonana, że są kwiaty, co nas nie lubią, jak my ich.... że są zwierzęta, co nas kochają, i że miłość jest zawsze wzajemna... A że ja tej kobiety... nienawidzę, więc i ona musi mieć wstręt do mnie... Po cóż ci szukać ludzi, co twego dziecka kochać nie mogą?

Dobek udawał, że się śmieje.

– A! dziecko! porzuć te dziwactwa! pojedę, pokłonię się, papiery przepatrzę i powrócę...

Lorka opadła klękając na ziemię i rzekła:

– A to tak ty mnie kochasz? tak? kiedy ja proszę... kiedy ja się lękam?... Mój ty drogi! mój ty miły... po cóż ci ruszać się z domu?... czy ci w twym gniazdku nie lubo? na co obcych szukać ludzi? Żyliśmy sami tak długo... trwoga mnie jakaś ogarnia...

– Dziecko jesteś, rzekł Dobek poważnie: i tobież przecie z tego gniazda wylecieć przyjdzie?

Lorka potrząsała głową.

– A! nie! nie! mnie tu dobrze! nie polecę...

I dodała błagając:

– Poszlej jej pieniędzy... poszlej co zechce... mamy ich dosyć...

– Nie tak wiele jak ci się zdaje! zawołał żywo skąpiec.

Lorka pogroziła mu palcem.

– E! ja wiem! ja wszystko wiem! ale niech to będzie tajemnicą...

– Wszystko co jest to dla ciebie.

– A ja wszystkiego wyrzekłabym się, tylko żebyś ty mi został, żeby mi ciebie nie chcieli odbierać ludzie, żeby nikt obcy... nikt obcy nie wcisnął się między nas dwoje...

Smutnie zwiesiła głowę.

– Mam okropne przeczucia... od tego dnia, gdy to widmo tu cicho weszło i stanęło w domu... czarne widmo...

– Moja Lorko!.. ty przerażająco jesteś temi bajkami z książek obałamucona... Śni ci się co czytasz... lepiej biegaj, graj... śpiewaj...

– Ale jam nie przeczytała o niej, ona mi stanęła tam... (wskazała ręką drzwi)... jak groźba jakiejś strasznej żałoby...

Wzdrygnęło się dziewczę...

– Wiesz co Lorku, poważnie i sucho rzekł ojciec: na ten raz muszę ci się sprzeciwić, bom słowo dał; lecz bądźże spokojną! to będzie raz pierwszy i...

Miał domówić: ostatni, gdy weszła ciocia Henau, która z drugiego pokoju całą słyszała rozmowę.

– Lorka ma główkę przewróconą!.. po co to ojca straszyć i zniechęcać!.. moja Loro!.. cóż ci znowu?

– A! a! was dwoje na mnie jedną! szepnęła onieśmielona dziewczyna: więc milczę... więc nie powiem nic – nic – ale ciociu Fryderyko...

Wstała, wyprostowała się, oczy jej błysły.

– Ciociu Fryderyko, pamiętaj tę chwilę... proszę... i tę moją trwogę... Serce człowieka ma czasem natchnienia z nieba... ojciec gdy o dziecko chodzi, dziecko, gdy idzie o rodzica...

Odstąpiła powoli ku oknom... Dobek spojrzał na pannę Henau, ona na niego, oczyma wskazali sobie Laure... i Fryderyka szepnęła:

– Mówcie o czym innym...

Zaczęto w istocie o ogródku... o kwiatach, lecz Laura się nie rozchmurzyła, w oczach miała łzy, chodziła ponura... prawie gniewna...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.